

Wizyta w Polsce, czyli po herbatę do mięsnego

2 stycznia 2016

Wizyta zagraniczna to zawsze wielka przygoda. Tym bardziej, jeśli odwiedzamy kraj w którym w sklepie mięsnym możemy dostać co najwyżej herbatę.

We współczesnych Chinach w dobrym tonie jest zatrudnianie w sklepach Europejczyka lub Amerykanina. Dodajmy od razu – zupełnie niepoprawnie politycznie – że chodzi o białych. Służą oni do zachęcania klientów do zakupów. Obecność cudzoziemca potwierdza markę sklepu, jakość sprzedawanych w nim produktów. W końcu kto jak kto, ale Europejczyk nie będzie kupował byle jakiej chińszczyzny.

To co może nas śmieszyć lub szokować jest jednak dość naturalne. Pomimo tego, że świat się globalizuje, bardzo wielu Chińczyków nie miało w swoim życiu styczności z żadnym białym. To co jest egzotyczne – dobrze się sprzedaje. Tym lepiej jeszcze, jeżeli ta egzotyka kojarzy się z dobrą jakością, wyższym poziomem organizacji, wyższym poziomem cywilizacyjnym. I to jest dobry moment, żeby zadać sobie pytanie: czy my tego przypadkiem skądś nie znamy?

Otóż tak, znamy i to dobrze. Tego rodzaju myślenie było bardzo powszechne w komunistycznej Polsce, przede wszystkim po roku 1956. Gdy reżim stalinowski zamknął granice, nawet mysz się nie prześliznęła. W roku 1952 – w szczytowym momencie izolacji Polski – w prywatną podróż na Zachód wyjechało mniej niż stu Polaków. Miało to swoje konsekwencje: Polacy stopniowo zapominali jak wyglądają ludzie Zachodu. A i ludzie Zachodu mogli stopniowo zacząć zapominać o tym jak wyglądają Polacy. Sytuacja zmieniła się w połowie lat 1950., gdy system totalitarny zmniejszył swoją opresyjność. Podróże z Zachodu na Zachód stały się częstsze, choć w dalszym ciągu nie były

sprawą powszechną.

Wyobraźmy sobie kierownika dobrze prosperującej polskiej fabryki w latach 1960. Jaki był szczyt jego marzeń? Jakiego pracownika chciałby najbardziej zatrudnić? Oczywiście: cudzoziemca. I to nie Rosjanina, Węgra czy Czecha. Przeróżni kierownicy najchętniej zatrudniali Francuzów, Anglików, Skandynawów. Niemców nie – trauma II wojny światowej i niewyjaśniona sprawa polskiej granicy na Odrze i Nysie nie zachęcała do współpracy z nimi.

Dlaczego zatrudnianie cudzoziemca było tak ważne? Powodów jest kilka. Po pierwsze, cudzoziemca utożsamiano często z wyższą kulturą pracy. W miejsce leniwego, kiepsko ogolonego inżyniera Nowaka, który doskonale opanował radziecką technologię, chętnie zatrudnianoby pracowitego i pachnącego inżyniera Moreau, będącego na bieżąco z zachodnimi (a więc: z założenia nowocześniejszymi) standardami pracy. Założenie, że francuski specjalista jest z samego faktu swojej „francuskości” lepszy od jego polskiego odpowiednika nie zawsze odpowiadało rzeczywistości. Dobrze opłacany – jak na polskie warunki – gość z zagranicy mógł szybko ulotnić się w chwili gdy jego kompetencje zostały ocenione krytycznie. Było to łatwe: w końcu cudzoziemiec był zawsze w cenie.

Innym powodem dla którego chętnie zatrudniano cudzoziemców była możliwość wykazania się przed przełożonymi. Były momenty w dziejach PRL, gdy szczególnie stawiano na modernizację i unowocześnianie. Dotyczyło to najczęściej przemysłu, który miał być wydajniejszy i miał skuteczniej zdobywać uznanie rynkach światowych. Ale często modernizacja kończyła się na hasłach i działaniach symbolicznych. Niekiedy zatem dyrektorowi fabryki do awansu w strukturach władzy wystarczało – po prostu – zatrudnienie cudzoziemca. „Towarzysze, tak dbamy o jakość, że nie oszczędzamy nawet na zachodnich fachowcach!” – jeżeli takie hasło doszło do odpowiednich uszu, nagroda była gwarantowana.

W końcu, jeżeli zatrudnienie cudzoziemca nie pomogło w otrzymaniu awansu, zawsze można było liczyć na moc koleżeńskiego wsparcia. Cudzoziemiec dobrze „zaopiekowany” w kraju, którego nie obciążało się przesadnie obowiązkami zawodowymi, mógł całkiem skutecznie odwdzińczyć się, gdy przyszła na to pora. Mógł obdarować przywiezionymi ze swojego kraju produktami, których na rynku Polski „ludowej” nie było. Ale mógł też zaprosić do siebie, żeby dyrektor – wraz z rodziną – choć trochę zakosztował życia na Zachodzie. Jak widać zatrudnienie cudzoziemca było inwestycją o dużej stopie zwrotu.

Ale nie znaczy to, że do Polski przyjeżdżano tylko w celach, które nazwalibyśmy dziś biznesowymi. Zapewne znacznie częstsze były przyjazdy z miłości. Pewna Francuzka zakochała się w Polaku i w połowie lat 1960. razem z nim zamieszkała w Pabianicach. Przemysłowe miasto pod Łodzią było jednym z modelowych przykładów gomułkowskiej industrializacji i dumą planistów oraz ministerialnych urzędników. Z punktu widzenia mieszkanki Zachodu nie wyglądało to już tak różowo: „Przygnębiło mnie pierwsze spotkanie z tłumem, burym i zmęczonym. Zszokowało mnie, że nikt nie patrzył, czy ktoś jest na jego na drodze. Ludzie w siebie uderzali” – wspominała. Warunki mieszkaniowe okazały się jeszcze gorsze od pierwotnych obaw: „Mieszkania były kołchozami bez życia, bez zapachów kuchennych. Życie wymusza jednak przystosowanie nawet w chwilach największego zwątpienia. Komunikacja międzykulturowa rodzi się w sposób spontaniczny: korale z papieru toaletowego były naprawdę urocze” – wspominała po latach ta sama Francuzka.

Korale z papieru toaletowego nie wydają się dziś specjalnie urocze – pozostają raczej symbolem bólów modernizacji, które Polacy musieli znosić przez dziesięciolecia PRL. Dla tych cudzoziemców, którzy przyjeżdżali nad Wisłę w celach turystycznych było zapewne inaczej. Mogło to wyglądać na lokalny koloryt. Hiszpańska pisarka Carmen Laforet,

odwiedzająca Polskę w drugiej połowie lat 60. wielu rzeczy nie była w stanie zrozumieć. Jedną z takich niezrozumiałych spraw było to, że większość sklepów mięsnych w Warszawie oferowała... chleb, masło, herbatę i mleko. Mięsa nie było nawet w formie plastikowych atrap na ukwieconych wystawach.

Czy obraz Polski jaki miała Hiszpanka był prawdziwy? Po części na pewno tak. Dość stwierdzić, że były okresy, gdy w Polsce mięsa po prostu nie było i tyle. Ale niektóre obserwacje budzą już pewne wątpliwości. „Pracujące, bezdzietne małżeństwo mogło pozwolić sobie na luksus, jakim jest na przykład lodówka (...) a także samochód.” Czy rzeczywiście? Co prawda lodówki stawały się w latach 1960. normą w polskich domach, ale samochody – na pewno nie. Bezdzietne czy dzietne małżeństwo: na luksus czterech kółek mogli sobie pozwolić jedynie wybrani. „Telewizory spotyka się częściej i łatwiej je kupić, bo stanowią znakomity kanał dla propagandy dowolnej idei, jaką państwo zechce wpoić społeczeństwu” – pisała też Hiszpanka. Chciała ona widzieć telewizję jako półdemoniczną broń w rękach reżimu, ale nie miała racji. Lata 1960. były czasem niewinności polskiej jedenastej muzy – informacje były oczywiście w pełni kontrolowane przez komunistyczne władze, ale np. rozrywka osiągała wówczas poziom jakiegoś (żadna) nasza telewizja już nigdy później nie osiągnęła.

Ludzie Zachodu do końca nie rozumieli więc Polski, ale i Polacy nie rozumieli swoich gości. Takie musiały być efekty wzajemnej izolacji i licznych barier – z językową na czele. Jedna i druga strona robiła jednak co mogła, żeby przełamać granice niezrozumienia. Tym bardziej można się cieszyć, że dziś te bariery są nieporównanie mniejsze.

Autorstwo: Michał Przeperski

Źródło: [Histmag.org](http://histmag.org)

Licencja: CC BY-SA 3.0